# Taniec połamanych życiorysów

## I

Któregoś parszywego ranka ktoś zabrał słońce i padał deszcz. Była jesień i tylko jesień, nigdy nie było cieplej, nie zakwitały kwiaty w ogrodach i nie było kiedy zbierać owoców w sadzie. Czasem tylko sypnęło śniegiem jak z wielkiego worka i wtedy była trochę zima, ale nie na długo, bo zima jak jest to biała, a wtedy po kilku dniach robiło się szaro i mokro, znów była jesień. Przez okna kamienic było widać cienie świec na ścianach lub pełne ich płomienie. Wydawało się, że w środku może być ciepło, ale pewne było tylko to, że szczęścia tam nie ma. Nie słychać dziecka płaczu, nie pachnie ciastem ani herbatą, unosi się w powietrzu zapach gorzkiej kawy i snu. To nie dom, raczej schronienie przed pogodą i pytaniami. Mimo, że widzieli jak krwawi świat nie uronili ani łzy, pijali tanie wino i nie chcieli dłużej żyć, żyli wciąż. Bez wiary w to, że odmienią los, żyli wciąż.

– Gdy jeszcze było jasno miałem wziąć, co mam i uciec stąd – szepnął.

– Jak tchórz – odpowiedziała.

– Jak szczur.

Policzki miała blade i nienaturalnie czarne oczy, które patrzyły śmiercią. Włosy nieuczesane, a powieki malowane smutkiem. Była w tym piękna i prawdziwa. Siedziała przy oknie spoglądając w nicość nieba.

– Powiedz mi jak mnie kochasz.

– Jak kaleki skrzypek muzykę.

– Jak bardzo kaleki?

– Bez rąk.

– Potrafi wciąż grać?

– Nigdy nie potrafił. Nigdy nawet nie był skrzypkiem, ale tam gdzie żyje nikt o tym nie wie. Nie ma rąk i chciałby żeby szła za tym jakaś ckliwsza historia niż to, że wpadł pijany pod pociąg. Wymyślił więc skrzypka i dziś sam chyba wierzy w to, że naprawdę kocha muzykę.

– Pieprzysz. Kochasz mnie ponad życie – powiedziała odwracając na moment wzrok w jego stronę.

Kochał. Choć ich miłość to bardziej tułaczka przez ciernie niż płatkami róż usłane kocie łby. Była jak krzyk, który potrafi w środku nocy obudzić każdego, ale po kilku minutach każdy zaśnie znów, bo krzyku już nie ma. Ucichł, by nazajutrz o innej porze zabrzmieć gdzieś w oddali.

– Namaluję twoje łzy – powiedział.

– Abyś mógł to zrobić one muszą najpierw popłynąć, prosto z serca.

– Namaluję twoimi łzami twoje łzy.

– Zrań mnie, dam ci łzy.

– Zranię. Którejś nocy ucieknę stąd, wtedy cię zranię.

– Wtedy nie namalujesz moich łez.

– Wyślesz mi je gołębiem.

– Pogubi je w locie.

– Znajdzie je ktoś inny – przełknął resztę wina – a ja ukradnę je następnego dnia.

– To koniec – powiedziała schodząc z parapetu – nie mamy już ani kropli więcej.

W ich przekrwionych oczach młodość grała żałobnego marsza. W poniemieckiej kamienicy przy Londzina 8 młodość grała żałobnego marsza.

## II

Miał na sobie przemokniętą kurtkę w kolorze zgniłej zieleni i bagaż cięższy niż można sobie wyobrazić – ból świata. Od wczesnego popołudnia do późnych godzin nocnych siedział w kącie sali baru Turystyczny, na rogu placu Wolności. Nikt nie wiedział co robi kiedy go tam nie ma, nikt nie miał odwagi, aby się go zapytać. Miał zło wypisane na twarzy i spoglądał złem, choć nigdy w oczy. Odważniejsi, którzy zdecydowali popatrzeć w jego stronę mówili, że patrzy znad piwa na ścianę, ze złością taką jakby patrzył na najgorszego wroga. Bywa, że nuci coś pod nosem. Ktoś kiedyś usłyszał:

*Pozwól odejść już,*
*że nie całkiem zechciej wierzyć.*
*Pozwól odejść już,*
*najlepszemu z twych żołnierzy.*
*Miejsce w szyku znam,*
*żołnierz mieszka w czasie przeszłym,*
*gdy w swojej roli ma trwać.*

*Tam we mnie obłoki,*
*obłoki gęstnieją.*
*Tam dzban przepełniony lekko się chyli,*
*tam para danieli przykrywa się knieją,*
*noc wróży z nocnych motyli.*

Żołnierz. Szeptają tak o nim. Do niego bezpośrednio nie mówi nikt nic. Z mundurem nigdy nie było mu po drodze, ale wojnę zna. Swoją własną. Walkę, przegraną. Każdą jej bitwę, każdą z kul, które grzechoczą w jego sercu jak kamyki w pudełku po zapałkach. Jak pająki bez nóg w pustej butelce. Jak miłość w szarym mieszkaniu, błąkając się od ściany do ściany,

obijając to o szafę wspomnień, to o komodę wymazanych z pamięci łez. Wojna najgorsza, bo osobista. Nie giną ludzie, nikt nie zdobywa ziemi, nie wystawia białych flag. Umierają uczucia, wschody i zachody, umiera cały świat oczyma jednego człowieka. Pozostają pozory. Twarde miny, ładne buźki, roześmiane usta. W źrenicach tylko widać to, co najistotniejsze. Nic. Biel, blady lęk, jakkolwiek to nazwać. Pustkę widać i nijak się oderwać od niej, bo ona boli jak swoja. Bo to miał każdy. Każdy po kryjomu chował w ciepłym łóżku miłość, by nazajutrz pakować jej walizki pełne wykrzyczanych zdań, których nigdy wykrzyczeć się nie chciało. Wystyga wtedy gorąca woda z wanny, gdzie kilka chwil wcześniej mieć się siebie chciało na zawsze i na wieczność. Straceńczy dźwięk spuszczanej kurkiem cieczy, odcięty nagle prąd i cisza. Cisza, co wkrada się pod skórę jak skarabeusz. Z czasem staje się przyjaciółką, powiernikiem. Rozgrzesza każde ciężkie przewinienie. Tylko zwariować można. Nic mówiąc na głos nic i nie słysząc nic. Cisza, która w końcu staje się tą jedyną. Później, gdy już w pobliżu rozmawiają, gdy ludzie są i być będą, nadal jest ta cisza. Ona pozostaje. Są dialogi, konwersacje, głupsze i mądrzejsze. Wewnątrz wciąż jednak nic. Patrzenie w ścianę, myśli. Syndrom porzuconych.

## III

– Bosacka pięćdziesiąt dwa – mówi – tylko weź mi zadzwoń jak będziesz na dole to ci powiem numer mieszkania.

– Będę do dwudziestu minut. Stówka?

– Tak.

– Pa.

– Pa.

Wstaje z łóżka. Wyłącza „Klan”. Włącza DVD, jakieś tanie porno. Nudne porno, w kółko to samo. Jęki nie robią na niej już żadnego wrażenia. Zresztą, te dziwne dźwięki dochodzące z małego telewizorka usytuowanego w starej meblościance z przyjemnością mają tyle

wspólnego co stwardniałe bułki, które można dostać za darmo u Malcharczyka po godzinie szesnastej z niedzielnym ciastem pieczonym przez babcię. Niewiele.

– Kto? – głos z drugiego pokoju.

– Ten z banku koło skarbówki. Zawsze pyta o cenę, a ona się nie zmienia. Nie rozumiem go. W ogóle to za każdym razem gdy tu jest wydaje mi się, że on mnie nie zna. Chyba gra tak tylko, bo numer jednak ma, dzwoni często, a pyta mimo to o rzeczy błahe, jak cena. Tak jakby ona się zmieniała jakoś, wahała. Kurde, to nie giełda.

– Może mu tak łatwiej. Nie znać cię.

– Może. Nie wiem. Dobrze, że jest. W tym wszystkim sama się już tak pogubiłam, że podaję mu adres, a znam go doskonale. Mówię mu też tę wyświechtaną śpiewkę o dzwonieniu spod klatki. On traktuje to całkiem poważnie, a przecież ja wiem, że będzie tam na pewno ten sam gość co poprzednio, a nie jakiś mój znajomy, kuzyn, broń boże ojciec.

– Olej to. Też graj rolę, kasa się zgadza.

– W sumie racja.

Kilkanaście minut zostało i myśli znowu zaczynają tańczyć pod dubstep w jej głowie. Kręcą się, skaczą, jak naćpane. Ania, kiedy był ten pierwszy raz, gdy pomyślałaś o sobie 'dziwka'? Wtedy w klubie, chłopak w moim wieku powiedział, że da mi sto złotych za spacer. Byłaś już dziwką? Nie. Pomyślałam, że to buracki podryw. Tylko on błagał, klękał. Pijany był i śmieszny. Żeby wstydu nie było i ochroniarze go nie przekopali zgodziłam się. Wzięłam tę stówkę i już wtedy poczułam się jak dziwka, a przecież nie byłam nią. Bawiłam się, to była impreza. Nic więcej. Ania? Tak? Kim dzisiaj jesteś? Nikim.

– Andżela, ty nie wiesz gdzie ja mam gumy?

– Wszystkie wsadziłam do szuflady w kuchni, moje i twoje.

– Ok.

Kiedy pierwszy raz wzięłaś pieniądze ze seks? Na studiach. Opowiedz. Spotykałam się z różnymi facetami. Dorosłymi, żonatymi. Ze studentami też. Każdy z nich płacił za wszystko.

Kino, kolacja, drobiazgi. Przywykłam do tego, że faceci płacą. Po prostu. Kolega na randce, w jego odczuciu oczywiście to była randka, zapytał ile pieniędzy wzięłabym za seks z nim. Parsknęłam śmiechem. W głowie przeliczałam już jaką kwotę mu podać. Skończyło się w łóżku. Za ile? Nie powiem. Dlaczego? Obiecałam to sobie. Nigdy nie powiem ile dostałam za ten pierwszy raz. Nie wiem czemu, może to głupie założenie, ale trwam w nim nieprzerwanie od wtedy. Jak jest dzisiaj? Stawki są różne. Dzwonek przeciął myśli jak skalpel. Miał najpierw zadzwonić na telefon. Dzwonek drugi raz.

– Otworzysz? – zmęczony głos Andżeli.

– Ta, idę już.

Myśl tylko o pieniądzach. Nie patrz na niego. Nie czuj. Nie całuj, nie bądź całowana. To tylko pieniądze. Praca tylko. Jak na taśmie. Nie czuj. Nie myśl o nim, nie myśl o sobie. Myśl o pieniądzach. Pukanie do drzwi.

– Cześć – zmieszany głos.

– Cześć. Pieniądze od razu.

– Proszę.

– W łazience masz czysty ręcznik. Weź prysznic. Czekam w pokoju na lewo. Nie zabłądź.

– W porządku.

To tylko praca. Nie czuj nic.

## IV

Nie żarem wiąże wodę niebo, na Żwirowni strugami płacze raj. W tle stłumiony dźwięk gitary basowej pana Boga, akustyka godna podziwu i całe to show, błyskawice, momentami robi się jasno jakby był dzień. Tylko dnia nie ma już od kilku miesięcy i Boga nie ma, a to tylko niepogoda. Tak jak nie ma już miłości, zapanowała niemiłość i nikt nie wie czy to się jeszcze

zmieni. Rozdziera czas ta jedna myśl – przemakać doszczętnie wciąż czy wrócić i usychać w pustym mieszkaniu, pełnym wspomnień i pustym zarazem od marzeń, co wyprowadziły się o kilkaset kamienic stąd, na zachód od roztrwonionego „ja”. Co dzisiaj pozostało, no co? Przekrwione oczy, na ich kanwie łamał się świat pół na pół. Szczypią pod wiatr i na nic zdają się krople, bo nie ma kropel na niechęć do codzienności.

– Załóż okulary – głos kobiety – i skończ być tym irytującym zdołowańcem.

Śmierć już dawno dostała list w kopercie i poinstruowana jest, że to się ma stać na pasach. Niby świadomie, bo całą ideę życia przyjdzie zrozumieć w tym momencie, a jednak z zaskoczenia, bo ojciec trójki dzieci w niebieskim Passacie nie zauważy nic do ostatniej chwili.

– Możesz przestać? – znowu ona.

– Myślę przecież tylko, nic nie mówię do nikogo.

– A to tobie się wydaje, że ja to jestem koleżanka z baru i cię tylko słyszeć potrafię gdy mówisz? Dostałam te twoje myśli na złość chyba, możliwość słyszenia ich i już mnie do szału doprowadza to o śmierci, to o niemiłości i cała reszta chorych farmazonów, weź człowieku wyjdź do ludzi, pouśmiechaj się, pojedź z kimś do kina, skocz na karaoke.

– Ludzie. Na co mi ludzie? Przecież każdy, począwszy ode mnie, myśli tylko o sobie. Udają słuchanie, a tak naprawdę w głowie układają zdania, co powiedzieć. Co ja teraz powiem? To moje ja, teraz muszę powiedzieć coś większego o kilka centymetrów niż to, co powiedział on. Tylko co on powiedział? Nie słuchałem.

– Ty skończysz ze schizofrenią paranoidalną. Wiesz co to?

– Bzdury. Jak depresja. Wymyślone choroby.

– Się obudzisz kiedyś w białej sali z drzwiami bez klamek to będziesz miał czas żeby się zastanowić czy na pewno to były bzdury. Depresję to masz już.

– Nienormalny schemat. Depresja to już wtedy jak ktoś ludzi nie lubi i nie gna do nich jak ćma do światła? Jak na odtwarzaczu po kolei poleci dziesięć piosenek Waitsa, a na półce leży

Stachury tomik? Gdy się woli ciemny bar od tanecznego klubu to też? Czy gdy myśli są zbyt szare, poranki pełne złości, a popołudnia miałkie, to depresja?

– Wiesz kiedy?

– Nie wiem, wytłumacz mi.

– Kiedy w kółko myśli się o śmierci, planuje ją jak karierę zawodową. W ogóle to ty jesteś synonimem słowa depresja.

– Nie jestem żadnym synonimem. Jestem mną. Nie obiecywałem światu, że pobiegnę ze wszystkimi w wyścigu, nie podpisałem umowy, która mówiłaby o przykładnym życiu w społeczeństwie. I nie lubię karaoke, nienawidzę, bo to idiotyczne, a w kinach grają teraz drogi szajs. Nie zabrałem jej na wczasy All Inclusive, bo o wiele bardziej cenię nasze morze, nie chciałem mieć z nią dziecka, bo ja to dzieciak wciąż, brakuje mi odpowiedzialności za siebie, jak mógłbym być odpowiedzialny za kogoś? Nie chciałem przysięgać przed Bogiem, że będę z nią do końca życia, bo ja Boga nie widziałem dotąd, a wiara to dla mnie za mało. Tak, kłamałem. Po stokroć kłamałem, bo jestem tylko sobą i czasem wybieram tę krótszą drogę i tak – wstydzę się nazajutrz. Z tym całym moim „ja” nauczyłem się żyć i jeśli ktoś chce być obok to niech będzie, ja potrafię kochać. Tylko jeśli chce ze mnie zrobić kogoś innego to niech od razu poszuka go w innym miejscu.

– Lepiej ci?

– Kim ty jesteś?

– Jestem każdą z nich. Każdą z osobna i zarazem jedną, a mój głos będzie obok aż do twojej usranej śmierci na pasach.